

Dyktatura polonistów

10 maja 2008

Dwaj znani humaniści – pisarz i historyk idei – napisali anonimowe eseje na tegoroczne tematy maturalne z języka polskiego. Eseje zostały ocenione według klucza podobnego do tego, jaki obowiązuje przy prawdziwej maturze. Okazało się, że gdyby była to prawdziwa matura, to jeden zdałby słabo, a drugi w ogóle by nie zdał...

Ja też nie zdałbym tegorocznej matury z języka polskiego. I to nie dlatego, że nie spełniłbym sztywnych kryteriów maturalnego klucza. Po prostu nie pamiętam już prawie nic z treści lektur, które były tematem matury. Choć w szkole średniej czytałem zarówno “Lalkę” Prusa, jak i “Ode do młodości” Mickiewicza (Mrozek był wtedy jeszcze “na indeksie”), i prawdopodobnie uczyłem się do matury zagadnień związanych z tymi lekturami.

A nie pamiętam dlatego, że ta wiedza nigdy po skończeniu liceum nie była mi potrzebna. Nie miałem okazji z niej korzystać. Gdybym tej wiedzy potrzebował w swoim życiu, utrwaliłaby mi się w pamięci. A tak – wywietrzała.

Jestem z zawodu informatykiem. Śmiem jednak twierdzić, że szczegółowa znajomość “Lalki” czy “Ody do młodości” nie będzie nigdy w życiu potrzebna nie tylko informatykowi, ale i konstruktorowi maszyn, inżynierowi górnictwa, fizykowi, lekarzowi, architektowi, biologowi, genetykowi, geologowi, prawnikowi, menedżerowi czy biznesmenowi. Ba, nie będzie potrzebna nawet większości przedstawicieli zawodów humanistycznych – historykom, psychologom, nauczycielom języków obcych, socjologom, dziennikarzom, piosenkarzom. Może być potrzebna jedynie wąskiej grupie polonistów, kulturoznawców, krytyków literackich czy historyków sztuki. Mimo to, o ile przyszli poloniści nie są zmuszani do zdawania matury z matematyki, biologii, fizyki czy historii, o tyle przyszli inżynierowie, lekarze czy prawnicy zmuszani są do

wykazywania się szczegółową znajomością dzieł literatury pięknej wybranych dla nich przez państwo, pod groźbą zamknięcia dostępu na studia i do dalszej kariery zawodowej.

Znajomość "Ody do młodości" czy "Lalki" nie jest potrzebna ani przydatna także w tzw. życiu codziennym, tak jak to jest z językami obcymi, podstawami matematyki, ekonomii, prawa i wiedzy o polityce, umiejętnością pisania, czytania ze zrozumieniem, prowadzenia samochodu, pływania czy obsługi komputera. Nawet taniec towarzyski, ju-jitsu, strzelanie z pistoletu czy jazda na nartach – są to umiejętności, których akurat nie posiadam – mogą się przydać na co dzień bardziej niż znajomość tych szkolnych lektur.

Jest absurdem, że aby zdać tak zwany "egzamin dojrzałości", stanowiący przepustkę do możliwości dalszego kształcenia i kariery, trzeba wykazać się wiedzą kompletnie później zbędną dla każdego poza wąską grupą specjalistów od literatury – podczas gdy wielu umiejętności bardzo przydatnych dla prawie każdego we współczesnym świecie trzeba uczyć się dopiero na studiach, na specjalnych kursach lub samemu. A jeżeli nawet nauczane są w szkole, to wykazanie się ich znajomością nie jest konieczne do zdania matury...

Oczywiście, znane są mi argumenty, że cywilizowany, kulturalny człowiek, prawdziwy polski inteligent powinien znać dzieła Mickiewicza i Prusa jako część swojego dziedzictwa kulturowego, zaś wykształcenie nie powinno sprowadzać się li tylko do kształcenia zawodowego i nauczania praktycznych umiejętności. Tyle tylko, że przymusowa matura z tych dzieł – jak widać choćby po mnie – wcale nie przyczynia się do ich znajomości. Bo poznawane są one na zasadzie "3 razy Z" – zakuć, zdać, zapomnieć. Ktoś, komu wiedza na ich temat nie będzie potrzebna, zapomni je szybko. Chyba, że lubi czytać je dla przyjemności – ale akurat przerabianie dzieła literackiego jako lektury w szkole, z której znajomości trzeba uczyć się do egzaminu jest najlepszą drogą, by obrzydzić go jako źródło artystycznych doznań. Wiem to również po sobie – lubię czytać

książki, przeczytałem ich w życiu bardzo dużo, wiele z nich mi się spodobało, do wielu wracałem i wracam. Wśród tych ostatnich były wiersze Mickiewicza i opowiadania Prusa. Ale akurat nie te, które “przerabiałem” w szkole, tylko te, które poznałem na własną rękę. Z lektur omawianych w liceum nie pamiętam prawie nic, wyjąwszy może kilka wierszy. Z punktu widzenia rozmaitych samozwańczych strażników dziedzictwa kulturowego nie jestem więc prawdziwie wykształconym człowiekiem, tylko barbarzyńcą, chamem, w najlepszym wypadku wykształciuchem. Mimo iż – paradoksalnie – zdałem kiedyś wymyślony przez nich “egzamin dojrzałości”.

Panuje swoista dyktatura polonistów. Polonistyczne lobby narzuciło wszystkim swoje kryteria dojrzałości, wykształcenia, inteligencckości. Wedle tych kryteriów człowiek z wykształceniem średnim ogólnym musi wykazać się przede wszystkim znajomością kanonu ustalonych przez te lobby lektur (bywają spory, co ma ten kanon zawierać, ale co do ogólnej zasady jest zgoda); znajomość innych dziedzin wiedzy (jak również innych dzieł literackich) jest mniej ważna. Kryteria te są od dawien dawna elementem państwowej polityki edukacyjnej. Stały się już niemal elementem wiedzy potocznej – nikt nie kwestionuje tego, że egzamin z “języka polskiego” (czyli tak naprawdę znajomości takiego czy innego kanonu lektur) powinien być na maturze obowiązkowy, ani tym bardziej tego, że powinno się tego w szkołach obowiązkowo uczyć i to nawet w klasach o profilach matematyczno-fizycznym czy biologiczno-chemicznym. Jeśli ktoś ujawni publicznie nieznaną kanonu, uważane jest to za powód do wstydu z powodu braków w wykształceniu (jak w przypadku Romana Giertycha zapytanego o “Naszą Szkapę”), podczas gdy brak umiejętności obsługi komputera czy przyznawanie się do kłopotów z matematyką na poziomie szkoły średniej takim powodem nie jest, o ile oczywiście ktoś nie reprezentuje zawodu, w którym taka wiedza jest niezbędna.

Może czas tę dyktaturę obalić?

Autor: Jacek Sierpiński

Źródło: sierp.libertarianizm.pl